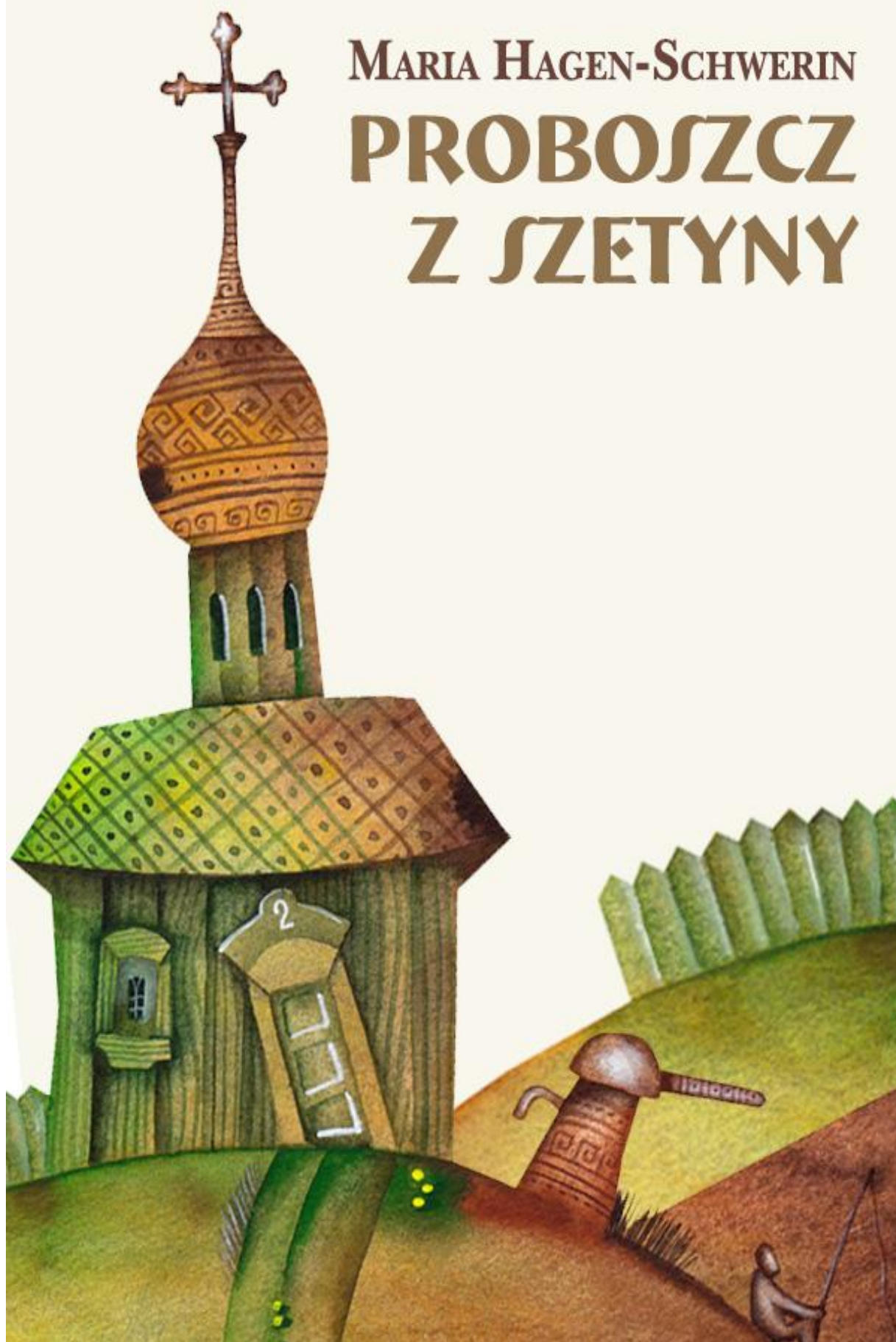


MARIA HAGEN-SCHWERIN  
**PROBOSZCZ  
Z SZETYNY**



**Maria Hagen-Schwerin**

# **Proboszcz z Szetyny**

.....

**Fundacja FESTINALENTE**

Śliczna noc czerwcową zapalała w gęstych zaroślach ogródka, otaczającego plebanię szetyńską, tysiące świętojańskich światełek, które niby gwiazdki z nieba spadłe migotały wolnym ruchem nisko ponad ziemią, ponad strumykiem wijącym się po ogrodzie i uciekającym ku wsi, położonej nieco niżej, jakby u stóp swojego plebana.

Proboszcz szetyński, sędziwy staruszek, siedział na wąskim ganku swego domu i, z rękami opartymi na poręczach słomianego fotela, rozglądał się dokoła.

Jasność letniej, chociaż bezksiężycowej nocy padała na białą głowę staruszka, twarz pooraną licznymi zmarszczkami, tchnącą wielką dobrocią i słodyczą bez granic, tym wdziękiem podeszłego wieku, jakim tak rzadko jednak lata piętnują bieg swój na twarzy ludzkiej.

Oczy staruszka zatrzymały się dłużej na kościółku o niewielkich rozmiarach, który tuż za ogrodem strzelał ku niebu wysmukłą kopułą; na gwieździstym szafirze nieba rysował się czarny, żelazny krzyż tejże, a to wyobrażenie Męki Pańskiej jakimś błogosławiącym wyrazem patrzyło na świat i ludzi. I proboszcz uśmiechnął się do niego półuśmiechem starców, zawierającym tysiące myśli i wspomnień tysiące.

Chwila obecna i dzień dzisiejszy usprawiedliwiały zadumę proboszcza. Dziś bowiem upłynęło lat pięćdziesiąt, odkąd przybył do Szetyny, obejmując parafię swoją.

Lat pięćdziesiąt! Pół wieku!

Lat tyle, ileż stanowi w dziejach ludzkości, a ileż więcej w życiu pojedynczego człowieka? Tych lat pięćdziesiąt odnajdywał jakby zapisanych dokoła siebie; każde drzewo rozkładające się dzisiaj rozłożystymi konarami własną sadił ręką, każdą cegiełkę białego kościoła własnym przemysłem i skrzętnością wy dostał.

Była to mozolna praca, zużył na nią swe siły, dzisiaj wszystko było skończone, urządzone, gotowe dla następcy. A rychło go mieć będzie, bo zużyte siły opuszczały go z dniem każdym, z każdą dobą czuł, że go mniej na ziemi, że go wyżej, tam dokąd oczy jego, dusza i serce tak często się wznosiły, wola Najwyższa powołuje. Następca jego nie zastanie tej pustki, jaką on zastał w Szetynie, którą dźwigał lat pięćdziesiąt, dźwignął nareszcie i pokochał całą siłą pracy, trudu, mokołów, rozczarowań, całą siłą uczucia, jakie Bóg w każde ludzkie serce wlewa. Myślą sięgał dalej, dalej jeszcze do czasów, w których młodzieniaszkiem spoglądał w życie, które przejrzał już dzisiaj, w których rwał się do kresu dalekiego, nieznanego, u którego stanął nareszcie.

Ręka staruszka podniosła się do czoła i przysłoniła oczy.

Jakże to dalekie te czasy, a jakże blisko niego stanęły tego wieczora!

Ujrzał na powrót po latach tylu modrzewiowy dworek, w którym się wychował, grabowym otoczony szpalerem, lipami wysadzaną drogę i pola, od których zapach kwiecia i brzęczenie owadów doleciały go nagle siłą wspomnienia, przeniosły tam, daleko w głąb kraju, o setki mil od miejsca, gdzie się obecnie znajdował i kazały odżyć życiem dawnym, dawnym cierpieniem, szczęściem ubiegłym.

Będąc sierotą, wychowywał się u wujostwa. Wiedział, jak boli brak ojca i matki i dlatego serce jego przepełnione było litością bez granic dla dzieci, którym Bóg dał to miano, a rodziców im zabrał.

Obchodzono się z nim surowo zawsze, bezwzględnie nieraz, a w sercu chłopaka, w miarę łez wylewanych, rosła słodycz wielka tylko.

W tym całym modrzewiowym dworku była jedna istota, która mu była szczerze przychylną, stała mu się więc wszystkim na świecie. Tą była jasnowłosa szesnastoletnia Andzia, siostra jego cioteczna, trzpiot dziewczyna, ale serce złote. Chłopak całą duszą przylgnął do niej, a kiedy oboje dochodzili do wieku marzeń, jak nitka złota w smutne myśli chłopczyny wplotła się myśl jedna, uczucie jedno i jedna nadzieja.

Zaledwie się ten delikatny kwiatek, wyrosły w młodym sercu i młodej głowie, rozwijać zaczął, zwarzyła go nielitościwie burza zwykłych zdarzeń życia. Andzia wyszła za mąż niespodziewanie bogato i świetnie; płakała dziewczynka nad tą świetnością może, może i w jej sercu młody krewniak zajmował pierwsze miejsce, ale za mąż wyszła i osierociła modrzewiowy

dworek. Z ludzi nie miał już nikogo dla siebie na całym szerokim świecie, już teraz Bóg jeden mu zostawał; zwracał się też coraz częściej do niego, aż zwrócił zupełnie i w trzydziestym roku życia zjeżdżał jako proboszcz do Szetyny. Wszystko, i za czym dusza jego tęskniła bezwiednie, danym mu było w jednej chwili.

Miał niedolę i nędzę do wspierania. Wziął się do pracy gorliwie z całą wytrwałością gorącej duszy a uczuciem dziecka, którego nie doznał, nie pamiętając matki, miłością dla siostry, dla narzeczonej, dla żony i syna, tymi wszystkimi uczuciami, których znać mu nie było dane, ukochał parafię swoją, Kościół i służbę Bożą. Znaną była dokoła pobożność proboszcza z Szetyny, miłosierdzie jego i wpływ zbawienny, jaki wywierał na lud swojej wioski.

Wkrótce po przybyciu jego do parafii, która dotąd odznaczała się tylko strasznym zaniedbaniem kościoła, będącym raczej ruiną niż świątynią, począł myśleć o restauracji tegoż; funduszków nie było żadnych, na składki miejscowe liczyć nie było można, proboszcz wyrobił sobie pozwolenie zbierania ich po kraju, szły one lepiej, niż się mógł spodziewać, ale o wzięciu się formalnym do roboty myśleć jeszcze nie można było. Wtem dnia pewnego poczta przyniosła mu list obciążony tak znaczną sumą, że ksiądz zaledwie oczom mógł uwierzyć.

Otworzywszy kopertę znalazł w niej oprócz pieniędzy, kartkę zawierającą tych słów kilka: „Na restaurację kościoła, prosząc o modlitwę. Andzia”.

Przez przeciąg minuty proboszcz był człowiekiem tylko, coś na kształt wspomnienia czy żalu wdarło się do duszy, zadrżało w sercu, błysnęło w oczach. Trwało to chwilę tylko, ale tą chwilą nie tylko lata, ale pasmo składających się na nie uczuć przeżył. Oderwał się od owładającego go uczucia jak od pokusy, pobiegł do kościoła i ukląkłszy przed ołtarzem w gorącej zatopił się modlitwie.

Czy czynił zadość prośbie listu, czy u stóp ołtarza składał po raz wtóry ofiarę życia swojego?...

Nazajutrz rozpoczęto restaurację kościoła. W tej pracy mijały dni, miesiące i lata.

Dzisiaj była pięćdziesiąta rocznica tej pamiętnej chwili, a staruszka dolatywał jeszcze hałas walonych młotem murów, a w sercu jego odezwało się to dawne, pierwsze, rozkoszne drzenie, jakim przed laty hałas ten powitał.

— Jegomość tak siedzi, a noc chłodna — przestroga ta wypowiedziana stanowczym choć łagodnym głosem, zbudziła proboszcza z zadumy.

Podniósł głowę, spojrzął na starą gospodynię stojącą koło niego, uśmiechnął się.

— To nic, Walentowa, to nic, przejdę się jeszcze trochę, bo noc ciepła.

Wstał z trudnością z krzesła, zawrócił do ogrodu, a obszedłszy go dokoła jedyną drogą, która się wiała pośrodku warzywa i drzew owocowych, stanął pod rozłożystą lipą i spojrzął przed siebie.

Jak na dłoni widać było wieś całą. Spała ona pośrodku łąk mgłą pokrytych i woniejących.

Na wzgórzu kościół czuwał nad tętniącym w niej życiem, a dokoła było cicho, jasno, dobrze; tylko robaczki świętojańskie, nieznużone nocną swą wycieczką, świeciły jeszcze. Całe życie proboszcza spoczywało na tym małym kawałeczku ziemi. Całe życie — dzisiaj widział tylko jego świetlane strony. Zapomniał o czarnych godzinach — one były przebaczone, tak, jak winy ludzkie, wobec niego dalekie i umarłe. Usta jego miały słowa pokoju tylko, serce błogosławieństwo.

Nigdy jeszcze nie czuł w duszy tyle bezmiernej wdzięczności dla Boga, którego ręka przez ciernie i łyzy zaprowadziła go tutaj, dając mu możliwość smutki pocieszać, cierpienia koić.

Oczy staruszka błyszczące łzami, wzniosły się ku niebu, a ręka robiąc znak krzyża w powietrzu, wraz z tym drugim krzyżem na kościele, błogosławiła światu.

Tej samej nocy, za ledwie kogut na północ zapiał, ze strasznym krzykiem: „Pali się! pali się!” — przebudziła się wieś cała.

Paliło się gumno na probostwie i zanim krzyk ten przeszedł z ust na usta, zapaliła się plebania, kościół, chata jedna po drugiej i niebawem część wsi, przylegającej do kościoła, stanęła w płomieniach, a gorący wiatr nagle powstały, rozdmuchiwał ogień, szerzący się już z niesłychaną szybkością wobec długo trwającej posuchy i wyjątkowo skwarne lata.

Wieśniacy, zajęci ratowaniem własnego mienia, przywołani krzykami i szlochaniem Walentowej,



przybiegli w chwili, kiedy cała plebania stała już w ogniu, niby pochodnia gorejąca.

Z niebezpieczeństwem własnego życia wynieśli ukochanego proboszcza, niemogącego się ruszyć z przestachu i wrażenia z grożącego zawaleniem się budynku.

Owiany świeżym powietrzem oprzytomniał staruszek i kazał się posadzić pod drzewem, w pobliżu probostwa.

Bezsilny, czujący w tej chwili całe brzemie niemocy swojej, patrzył na straszne zniszczenie pożogi. Nie mówił, nie myślał, patrzył tylko. Są takie chwile w życiu ludzkim, które nam zrozumienie odejmują, nazwać by je można błogosławieństwem cierpienia.

Nad ranem dopiero, kiedy już na wschodzie w rozkosznym brzasku ukazywało się słońce, zdołano ogień przytłumić; dał on się nareszcie ugasić, jakby zawstydzony zapalającym się na niebie majestatycznym płomieniem.

Pierwsze promienie słońca nieśmiało spojrzały na dzieło nocy. A straszne to było dzieło!

Długą, czarną, żałobną wstążką zarysowało się probostwo i część wsi. Wszystkie budynki gospodarskie zamieniły się w kupę popiołów, murowana plebania stała bez dachu, z poczerniałą obwódką od ognia i dymu. Toż samo kościół, którego dach runął do środka w ten sposób, że ponad wiązanie krzyż się tylko wznosił, zgięty, połamany, ale wymownie jeszcze wznoszący ramiona, wołające o pomoc do Boga.

Ludzie stali z załamanyimi rękami i posepną twarzą, patrząc na dymiące, od czasu do czasu jeszcze iskrami strzelające zgliszczu.

Proboszcz, który przez cały czas pożaru siedział nieruchomy, gdy dzień nastał na niebie i rozlał się słońcem i pogodą dokoła, zerwał się nagle i chwiejnym krokiem zbliżył się do stojącej opodal gromadki ludzi. Rozstąpili się z uszanowaniem wieśniacy na widok starca. On stanął pomiędzy nimi, obejrzał się dokoła, a nareszcie wlepiając oczy w zniszczony kościół, w to dzieło swoje, w tyloletnią swoją pracę, cel całego życia, zachwiał się i głosem niepewnym po raz pierwszy wymawiając te słowa poddania: — Wola Boża! — rozplakał się rzewnie.

Mimo nalegań swoich parafian, stanowczo odmówił proboszcz przeniesienia się gdzieindziej. Pozostał w swoim domu, w którym powała w jednym utrzymała się pokoju, i obiecując, że zaraz nazajutrz weźmie się do pracy, zaczął od tego, że się położył do łóżka.

Na inne zajęcie sił mu dnia tego nie stało.

Po południu wysłał domowników na nieszpory do wsi sąsiedniej — był to bowiem czwartek, w oktawę Bożego Ciała. Pozostała tylko i to wbrew jego woli gospodyni, która od czasu do czasu przez drzwi uchylone zaglądała, powtarzając za każdym uchYLENIEM drzwi pytanie:

— Co też Jegomość robi?

Jegomość spoczywał. Nie czuł się chorym, ale bardzo, bardzo zmęczonym. Dziwne to było zmęczenie.

Członki czuł w sobie zdrowe, tylko coś silniejszego od członków ciała, coś co nimi kieruje osłabło i gasło jak dogasająca lampa.

Smutno mu było, smutno i tęskno w tym odymionym pokoju, świadczącym wymownie o klęsce nocy, którą czuł, że już nie naprawi nigdy.

Spalony kościół zaglądał mu w oczy i łązy zeń wyciskał. Przypominał sobie trudy z jakimi go z ruiny, w jaką znowu dzisiaj popadał, dźwigał przez długie lata. Każda ofiara, każda trudność, każda kropla potu, powstawały dzisiaj z zapomnienia i otaczały jego łóżko żywym wspomnieniem.

Czymże jest to życie ludzkie, czym jego czyny? Godzina jedna w nicość zamienia owoc lat szeregu!

Westchnął głęboko.

— Wola Boża! — szepnął, powtarzając słowa wyrzeczone z rana.

— Wszak to wszystko było na Jego chwałę, niechże i z tego Jemu będzie ofiara — dodał i przymknął oczy, a po tych słowach poddania lżej mu się zrobiło.

Wielki ciężar smutku, jakby mu spadł nagle z serca i zdawało mu się, że usypia czy też błogo śni na jawie. A śnił najdroższym, jedynym snem życia. Śnił, że nieszczęście, które wieś nawiedziło, było snem tylko.

Więc jak zwykle i dnia tego odprawivszy nieszpory, odwrócił się do ludu z Przenajświętszym Sakramentem w rękę i tym samem ojcowskim spojrzeniem obejmował swoją białą, kwieciami przystrojoną świątynię, pełną mężczyzn, niewiast,

dzieci, niby całą rodzinę swoją zebraną w koło siebie i chylącą się kornie przed tym Bogiem, którego on im dał poznać i nauczył kochać.

Wtenczas wznosząc wysoko Przenajświętszy Sakrament, zaintonował pierwsze słowa pieśni: „Boże w dobroci nigdy nieprzebrany”.

Gospodyni zaniepokojona ciszą panującą w pokoju, otworzyła drzwi i na palcach przybliżyła się do łóżka.

Ksiądz spał uśmiechnięty. Ale spał tak cicho, że nachyliła się nad nim i żywo cofnęła przerażona.

Bóg dał mu po raz ostatni na ziemi dowód swojej łaski.

Cierpienie musnęło go tylko niby snem, a Anioł Stróż poniósł po nagrodę życia do stóp Boga nieprzebranego w dobroci!...

Maria Hagen-Schwerin  
*Proboszcz z Szetyny*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-289-0

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)